

„Niebo istnieje... Naprawdę!”

Rozdział 21 ‘Pierwsza osoba, którą spotkasz’

(...) — Jedziemy spotkać się z tatą Glorii, Haroldem w domu spokojnej starości — powiedziałem. — Żle się czuje i pewnie nie zostało mu zbyt wiele czasu. Harold dawno temu oddał swoje życie w ręce Jezusa, a teraz przygotowuje się do pójścia do nieba.

— Dobrze, tatusiu — chłopiec nawet nie oderwał wzroku od okna.

Dom spokojnej starości to jednopiętrowy budynek z wielką jadalnią od frontu. Znajduje się tam ogromna klatka dla ptaków, które nieustannie latają i ćwierkają, przenosząc trochę dworu do środka.

Gdy zjrzałem do pokoju Harolda, ujrzałem Daniela i Głorię wraz z trzema lub czterema innymi członkami rodziny, w tym dwiema córkami Harolda. Daniel wstał na mój widok.

— Witam, pastarze — powiedział, podając mi dłoń w przyjacielskim uścisku. W ten sam sposób — uściskiem — przywitałem się z Głorią. Rodzina powitała Coltona, który trzymał mnie mocno za rękę i tylko wymamrotał ciche „dzień dobry”.

Odwrociłem się w stronę łóżka Harolda. Zobaczyłem go leżącego bez ruchu i ciężko oddychającego. Wiele razy widziałem kobiety i mężczyzn w tej ostatniej fazie życia. Na przemian tracą lub odzyskują świadomość, a kiedy są przytomni, jasność umysłu także przychodzi i odchodzi na przemian.

— Jak się miewa twój tata? — zwróciłem się do Glorii.

— Jakoś się trzyma, ale nie sądzę, żeby pozostało mu wiele czasu — odparła.

Była dzielna, ale zauważyłem, że gdy mówiła, drżał jej lekko broda.

W tym momencie Harold zaczął mruczeć coś cicho i kręcić się pod cienkim prześcieradłem, które go okrywało. Jedna z sióstr Glorii wstała i podeszła do łóżka, szepcząc coś uspokajająco, po czym wróciła na swoje krzesło pod oknem.

Podszedłem do łóżka i stanąłem przy głowie Harolda, Colton szedł za mną krok w krok. Harold, wychudzony i łysiejący, leżał na plecach, oczy miał przymknięte, a wargi lekko rozchylone. Oddychał przez usta. Wyglądało to tak, jakby zatrzymywał powietrze w buzi, wyciskając z niego każdą cząsteczkę tlenu, zanim wziął kolejny wdech. Zerknąłem na Coltona wpatrującego się ze spokojem w jego twarz. Położyłem dłoń na ramieniu starego duszpasterza i zamknąwszy oczy, głośno się modliłem, przypominając Bogu o jego długiej i wiernej posłudze i prosząc, by przyjął swojego sługę z wielką radością. Gdy skończyłem, wróciłem do członków jego rodziny. Colton cofnął się razem ze mną, aż raptem obrócił się na pięcie i podbiegł do łóżka Harolda. Chwycił starego duszpasterza za rękę. Wszyscy w sali zamarli. Każdy przyglądał się tej niecodziennej scenie. Wpatrując się intensywnie w twarz Harolda, Colton powiedział

— Będzie dobrze. Pierwszą osobą, którą spotkasz, będzie Jezus.

Jego głos brzmiał rzeczowo, jakby opisywał coś tak realnego i znanego jak miejscowa straż pożarna. Daniel i Gloria spojrzeli na siebie wymownie, a ja poczułem się bardzo surrealistycznie. Już przywykłem, że Colton opowiada o niebie. Ale w tamtym momencie stał się małym przewodnikiem dla odchodzącego niebiańskiego wędrowca.

Rozdział 11 'ColtonBurbo, kwestarz'

(...) zacząłem przygotowywać się do pogrzebu w naszym kościele. Zmarły oficjalnie nie należał do naszej parafii, jednak mieszkańcy miasta, którzy nie uczestniczą regularnie w Mszy, często proszą o kościelny pogrzeb dla członka rodziny. Czasami zmarły jest przyjacielem lub krewnym jednego z parafian.

Colton prawdopodobnie usłyszał naszą rozmowę z Sonją na temat zbliżającej się ceremonii, ponieważ pewnego dnia wszedł do salonu i ciągnąc mnie za rękaw zapytał:

- Tato, a co to jest pogrzeb?

Odpowiedziałem mu, że odprawiamy już kilka pogrzebów w naszym kościele, jednak dopiero teraz maluch zaczynał interesować się światem i tym, jak wszystko funkcjonuje.

- Pogrzeb odbywa się wtedy, kiedy ktoś umiera. Jeden pan w mieście umarł i jego rodzina przyjdzie do kościoła, żeby się z nim pożegnać.

Colton momentalnie zeszytniał. Przybrał poważny wyraz twarzy i spojrzał mi w oczy.

- Czy ten Pan miał Jezusa w sercu?

Mój syn zapytał mnie właśnie, czy zmarły był chrześcijaninem i czy wierzył w Jezusa jako Zbawiciela, a jego poważny ton głosu zbił mnie z tropu.

- Colton, nie jestem pewien – odpowiedziałem, - Nie znałem go za dobrze.

Zmartwienie wymalowało się na twarzy Coltona.

- Musiał mieć Jezusa w sercu, Musiał! Inaczej nie będzie mógł pójść do nieba!

Colton znów zaskoczył mnie swoim przejęciem. Przecież nawet nie znał tego człowieka. Starłem się go uspokoić.

- Rozmawiałem z jego rodziną i powiedzieli mi, że miał. Nie martw się.

Chyba nie do końca był przekonany, ale ewidentnie mu ulżyło. Uśmiechnął się do mnie i wrócił do zabawek. (...)

Zajrzałem do kaplicy i wymieniałem znaczące spojrzenie z osobą prowadzącą pogrzeb. Potakująco skinęła głową na znak, że są gotowi. Odwróciłem się, by zawołać Coltona i Cassie, a wtedy chłopiec wskazał palcem trumnę.

Co to jest, tato?

- To jest trumna - powiedziałem, starając się nie komplikować sprawy. - Zmarły leży w środku.

Nagle na twarzy Coltona znów pojawiła się troska. Zaciśnął dłonie w pięstki i uderzył się w uda.

- Ale czy ten pan miał w sobie Jezusa?! - zapytał, niemalże krzycząc, i ponownie wskazał trumnę palcem. Sonja wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Oboje spojrzeliśmy na drzwi prowadzące do kaplicy w obawie, że rodzina zmarłego usłyszy wrzaski naszego dziecka.

- Musiał, po prostu musiał! - kontynuował Colton. - Nie będzie mógł pójść do nieba, jeśli nie miał Jezusa w swoim sercu!

Sonja złapała Coltona za ramiona i usilnie starała się go uciszyć. Nie było to jednak takie proste. Niemalże płacząc, Colton wykręcał się z uścisku Sonji i krzyczał:

- Tato, on musiał mieć w sobie Jezusa, musiał!

Sonja wyprowadziła go z zakrystii i poszła z nim pod główne wejście do kościoła. Cassie pobiegła za nimi. Przez szklane drzwi widziałem, jak żona pochyla się nad dziećmi i cierpliwie im coś tłumaczy. Po chwili Cassie wzięła nieudobruchanego brata za rękę i zaczęła iść w stronę domu.

Nie do końca wiedziałem, co o tym myśleć. Dlaczego Colton tak bardzo przejmował się losem tegoniecznanego człowieka? Dlaczego martwiło go, czy aby na pewno „miał Jezusa w sercu”?

Jednego byłem pewien: Colton był w takim wieku, że czegokolwiek sobie nie pomyślał, musiał powiedzieć to na głos. (...)

Od tamtego incydentu trzymaliśmy Coltona z daleka od pogrzebów, jeśli nie byliśmy pewni, czy zmarły był chrześcijaninem. Po prostu nie wiedzieliśmy, jak zareagowałby nasz mały syn.

(...) Jeszcze w tym miesiącu Colton po raz drugi wyprowadził mnie z równowagi. Tym razem sprawa dotyczyła życia lub śmierci.

Wyznajemy z Sonją zasadę, że głównym zadaniem rodzica od momentu, kiedy dziecko zaczyna chodzić, aż gdy pójdzie do pierwszej klasy, jest utrzymanie go przy życiu. Żadnych widelców w kontaktach. Żadnych suszarek w wannie. Żadnych puszek z napojami gazowanymi w mikrofali. Udało nam się to z Cassie. Miała już siedem lat i nie stanowiła zagrożenia sama dla siebie i innych. Za to Colton to zupełnie inna bajka.

Był bystrym chłopcem, ale jednej rzeczy nie mógł pojąć: kiedy ludzkie ciało napotyka pędzący samochód, nic dobrego z tego nie wynika.

Niedługo mógł już iść do przedszkola, ale ciągle był malutki, co oznaczało, że wdał się w tatę i był niski jak na swój wiek. Był też niesamowicie energicznym dzieckiem, które zaczynało biec do samochodu tuż po wyjściu ze sklepu. Baliśmy się, że inni kierowcy go nie zauważą i przejadą. Niemal raz lub dwa razy w tygodniu musieliśmy ciągnąć go z powrotem na chodnik lub krzyczeć za nim: „COLTON, STÓJ!”, a potem biec, by go strofować: „Musisz na nas poczekać! Musisz trzymać się ręki mamusi lub tatusia!”.

Pod koniec kwietnia zatrzymaliśmy się z Coltonem na hamburgera w SwedenCreme. (...)

Tamtego dnia kupiłem waniliowe rożki dla siebie i Coltona. Zgodnie z tradycją mój syn wyszedł na zewnątrz, polizał loda i pędem ruszył w stronę parkingu, który znajduje się tylko kilka metrów od głównej ulicy. Z sercem podchodzącym do gardła krzyczałem za nim: „COLTON, STÓJ!”. Zatrzymał się, a ja, czerwony z wściekłości, podbiegłem do niego.

Synu, nie możesz tak robić! - krzyczałem. - Ile razy mam ci to powtarzać?!

Dostrzegłem na środku ulicy kupkę futek. Myśląc, że dam mu świetną lekcję, wskazałam na nią.

- Widzisz to?

Colton polizał swojego łoda i spojrzał w kierunku, który wskazywałem.

- To zajaczek, który próbował przejść na drugą stronę ulicy i mu się to nie udało - powiedziałem. - To samo może się przytrafić tobie, jeśli wybiegniesz na ulicę, a kierowca cię nie zauważy! Mógłbyś nie tylko zostać ranny, ale nawet umrzeć!

Colton spojrzał wtedy na mnie i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No, to dobrze! - odpowiedział. - To znaczy, że mógłbym wrócić do nieba!

Zirytowany spuściłem bezradnie głowę. Jak można przestraszyć dziecko, które nie boi się śmierci? Ostatecznie uklęknąłem przed nim i spojrzałem mu prosto w oczy:

— Nie rozumiesz, o co mi chodzi — powiedziałem. — Tym razem ja pierwszy pójde do nieba. Jestem tatą, a ty jesteś dzieckiem. Rodzice mają pierwszeństwo!